

Tadeusz Przecherko

Grzymała-Siedlecki o Paderewskim

Adam Grzymała-Siedlecki wspomina: *Gdy w roku 1910 [Paderewski] przybył do Krakowa na uroczystość odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego, w czasie którejś z rozmów zapytałem go, kiedy w nim powstała myśl ofiarowania Polsce tego milionowego daru?*

- Ile pan ma lat? - zapytał mnie zamiast odpowiedzi.

- Trzydzieści cztery!

- No więc nie było pana jeszcze na świecie, kiedy już o tym zamarzyłem.¹

Przed chwilą opadły zasłony i Jagiełło, siedzący dumnie na bojowym rumaku, mógł znowu – po pięciuset latach – spojrzeć w stronę ulicy Floriańskiej i dalej aż po wieże kościoła Mariackiego. Nie można było wybrać lepszego miejsca pod ten pomnik. Oto Barbakan i tuż za nim Brama Floriańska. Początek „drogi królewskiej”, która monarchów i innych co znamienitszych gości odwiedzających stolicę Polski wiodła niegdyś uroczyście na Wawel.

Ogarnął mnie podziw (pisze Grzymała). Bo tylko pomyśleć: kiedy mnie na świecie nie było, on mógł mieć najwyżej 15 lat. Tedy ten piętnastoletni, a może jeszcze młodszy wyrostek, rozpoczynający studia muzyczne, gdzieś zasłyszawszy czy doczytawszy się o dziejowym znaczeniu Grunwaldu, zapala się myślą: zostanę wielkim pianistą, będę zarabiał krocie tysięcy - i z tych tysięcy postawię pomnik Jagielle.

Kto był tym trzydziestoczteroletnim mężczyzną, który usłyszał tak zdumiewającą odpowiedź z ust Paderewskiego? To Adam Grzymała-Siedlecki. Tak się potem złożyło, że towarzyszył Mistrzowi wielokrotnie i przy różnych okazjach miał możliwość relacjonować wszystko, czego był świadkiem. Pora przeto, aby w tym miejscu naszkicować

po krótko portret Grzymały.

Bydgoszczanin z wyboru. Osiadł w naszym mieście w roku 1922. W czternaście lat później wyjechał, wrócił po drugiej wojnie światowej i pozostał w Bydgoszczy aż do śmierci w styczniu 1967 roku.

W Bydgoskim Leksykonie Teatralnym² można przeczytać, że z naszym miastem związany był nie tylko adresem, ale także szczerym sentymentem, co w jednej z rozmów ujął następująco:

Do Bydgoszczy, jako do stolicy tych ziem, które w historii naszej nazywały się Krajną, to mnie ciągnęło od dawna. Interesowała mnie ta dzielnica ze względu na znaczenie, jakie miała zwłaszcza za piastowskich naszych czasów. (...) Do tego aspektu doszła jeszcze i osobista sprawa, mianowicie – jak tradycja rodzinna mówiła, a dołączyły się do tego dokumenty – to przodkowie moi tutaj właśnie na tej ziemi siedzieli i tu pracowali. Z tego też powodu, gdy w roku 1922 trzeba się było gdzieś osiedlić, a w Warszawie nie bardzo mi było wygodnie, to zwróciłem myśl przede wszystkim do Bydgoszczy i tu się osiedliłem i jak wówczas, tak i dziś ani na chwilę tego nie żałuję.

Grzymała był w swoim długim życiu dziennikarzem, rządowym korespondentem prasowym, komediopisarzem i prozaikiem. Jego żywiołem był teatr, dla którego pracował jako autor wziętych sztuk, krytyk, kierownik literacki wielu polskich scen, a w naszym mieście również dyrektor teatru i wykładowca w szkole dramatycznej. Teatr Polski w Bydgoszczy był przez lata jego oczkiem w głowie. Aż dziw, że po śmierci tego rzeczywiście zasłużonego człowieka nie nadano Teatrowi jego imienia.

Pisząc o Paderewskim, Siedlecki wyrażał otwarcie swój podziw dla Jego niezwykłych dokonań; nie kryjąc głębokiej więzi emocjonalnej z tym wielkim artystą. Jednocześnie zaś nie był ani przez chwilę bezkrytycznym chwalcą „największego pianisty świata” – jak przez wiele lat powszechnie Paderewskiego nazywano. Grzymale można wierzyć i to jest chyba największą zaletą opisu zdarzeń, w których dane mu było uczestniczyć. Przy tym jego dar obserwacji i umiejętność docierania do „sedna sprawy” muszą budzić szczerze uznanie.

Autentyzm relacji Grzymały sprawia, że Paderewski jawi nam się rzeczywiście jako niekwestionowany

książę fortepianu.

Grzymała pisze: *Żaden z książąt, nawet udzielnych, nie zaznawał takiej światowej popularności, jaką w swojej wielkiej epoce cieszył się twórca Manru. Czy to w Europie czy w Stanach Zjednoczonych, w Rodezji czy w Nowej Zelandii – sam już do danego miasta przyjazd Paderewskiego stawał się uro-*

czystością powszechną; witryny magazynów przyozdabiane jego podobiznami, perony stacji na kwadrans przed jego przyjazdem napelnione tłumem adoratorów, a jego przejazd z dworca do hotelu przybierał charakter wjazdu triumfalnego. Sale, w których koncertował, natłaczały się do ostatniego ćwierćmetra kwadratowego, a po końcowym akordzie estrada przeistaczała się w nieprzebrany ogród kwiecia. (...) Zachwycali się nim mężowie stanu, uczeni i artyści; rade go u siebie gościły głowy koronowane. Albert I nie pozwalał mu w Brukseli mieszkać gdzie indziej, jak tylko w pałacu królewskim, a gdy swojego czasu przyznano Paderewskiemu wielką wstęgę któregoś z belgijskich orderów, król przybył osobiście na pokoje naszego artysty, by go prosić o przyjęcie tego odznaczenia - wydarzenie bodaj bez precedensu.

Światowe triumfy Paderewskiego rozpoczęły się w 1888 r., kiedy to w Paryżu odniósł swój pierwszy wielki sukces pianistyczny.

W następnych latach podziwiała Go Niemcy i Anglia, zaś od roku 1891 koncertuje w Ameryce, gdzie Jego sława rośnie szybko, by na przełomie wieków osiągnąć apogeum.

Do zaszczytów i niewyobrażalnej wręcz popularności, do fenomenalnych osiągnięć i zasług doszedł bez niczyjej pomocy, bez żadnych ułatwień życiowych. W latach młodości borykał się nawet z dotkliwym niedostatkiem. Wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie samemu. Sam wykorzystał to, co w nim tkwiło, a co trzeba było rozwinąć. Jak zwykle w takich razach, twórcza sprężyna rozwoju nie była zapewne jakąś jedną właściwością, lecz zespołem kilku co najmniej zalet: przyrodzonym talentem, entuzjazmem i ukochaniem swego powołania, umiejętnością twardej walki z przeciwnościami i nieustępliwej pracy. Władzała nim od młodego wieku

pasja trudu.

W połowie lat dwudziestych władze Poznania pragnąc uczcić wielkiego pianistę i patriotę przemianowały jedną z miejscowych szkół na gimnazjum im. I.J. Paderewskiego. Mistrz przybył na uroczystość i zebraną młodzież szkolną obdarował piękną oracją.

Grzymała, który był tam również, napisał potem, że z mowy tej utkwił mu w pamięci szczególnie jeden, jakże znamienity fragment:

Kochane dzieci - mówił Paderewski - *jesteście synami narodu, który śmiało można uważać za jeden z najzdolniejszych narodów kuli ziemskiej,*

ale który to naród w dotkliwym stopniu nie posiada cnoty pracowitości, czyli tego czynnika, bez którego największej wrodzonej zdolności nie da się przeistoczyć w słodki owoc żywota: w umiejętność.

Paderewski był pracowity jak rzadko kto. Profesjoniści będący blisko Mistrza zapewniali, że żaden ze znanych im wirtuozów nie wkłada nawet w przybliżeniu tyle co On trudu w przygotowanie każdego koncertu. Wiadomym znakiem Jego pracy przy klawiaturze były ręce: duże, muskularne, odbijające się znamienne od całości Jego postury raczej delikatnej.

Pewien znany wiolonczelista,³ który w okresie studiów w Instytucie Muzycznym w Warszawie mieszkał na stacji w jednym pokoju z Paderewskim, wspominał Grzymała po latach o takim zdarzeniu:

Któręś roku, gdyśmy się przygotowywali (wraz z bratem) do wyjazdu na Zielone Świątki, Ignacy oświadcza, że nie będzie mógł nam towarzyszyć.

- Dlaczego?

- Profesor fortepianu zwrócił mi uwagę, że ten oto pasaż - tu przebiegł palcami po klawiaturze - nie dość mi giętko wychodzi, muszę więc dwa dni Zielonych Świątek poświęcić na przewyciężenie tej trudności.

Usiłowaliśmy go przekonać, że będzie się mógł z tym uporać i po świętach. Na próżno!

Nie było rady, wyjechaliśmy bez niego. We wtorek rano wracamy do Warszawy i oto jaki w naszym pokoju zastajemy widok: przy fortepianie na podłodze leży Ignacy na pół omdłały, tak że nie bez trudu mogliśmy go doprowadzić do przytomności; przez dwa dni i niemal przez dwie noce, bo do ranka z poniedziałku na wtorek, bez posiłku i z minimalnymi przestankami wypracowywał krytyczny pasaż. Z tego nieludzkiego wysiłku i z głodu opadł z sił i stoczył się na podłogę, na poły nieprzytomny.

To już była nie tylko pracowitość, to była niespotykana zaciekłość trudu z wytkniętym jasno celem. Przy tym ów mocarz fortepianu nie ograniczał się wyłącznie do muzyki; odczuwał bowiem przemożną potrzebę wszechstronności. Interesowało Go wszystko, co myśl ludzka wypracowała.

Grzymała pisze:

Trzeba go było widzieć, jak po godzinach koncertu, a więc po godzinach wyczerpania, na raucie, dorwawszy się do jakiegoś uczonego - wszystko jedno z jakiej dziedziny - z całą świeżością umysłową eksploatował go pytaniami, wywiadywaniem się o najnowsze zdobycze jego specjalności. Nauki socjalne i historia były największym jego umiłowaniem, w czym

nietrudno rozpoznać aspiranta do kariery politycznej, ale czarowała go każda wiedza, każda porywała go swoją niezwykłością, a może raczej swoją odmiennością od sztuki.

Obcymi językami władał w stopniu wyróżniającym. Po francusku, po włosku, czy po angielsku nie tylko swobodnie rozmawiał, nie tylko mógł wygłaszać toasty czy okolicznościowe przemówienia, ale i wielkie mowy. Dowody tego dał w latach pierwszej wojny światowej, kiedy w Stanach Zjednoczonych wygłosił kilkaset mów na rzecz Polski na mitingach, gromadzących każdorazowo po kilka tysięcy rozentuzjasmowanych słuchaczy.

Talentem krasomówczym obdarzony był niemal tak samo, jak talentem muzycznym. Łatwo mógł przemówienia swoje improwizować, lecz robił to rzadko. Do każdego publicznego wystąpienia przygotowywał się bardzo starannie, gdyż lubował się w samym trudzie przygotowywania. Potem, w stosownej chwili, występował z oracją reprezentującą styl najwyższej próby, przykuwał bez reszty uwagę słuchaczy, porywał ich i przekonywał do swoich racji. Nikt, kto Go bliżej nie znał, nie podejrzewał nawet, jaka wyężona praca poprzedzała owe świetne, budzące taki zachwyt wystąpienia. Potrząsał przy tym swą imponującą płową czupryną, ową niemal legendarną „lwią grzywą”, co sprawiało, iż określenie

lew salonów

nawet w sensie wizualnym pasowało do Niego znakomicie. W wielkim świecie przepadano za Jego towarzystwem. Oddajmy ponownie głos Adamowi Grzymale-Siedleckiemu: *Miał w sobie dar, który by nazwać można geniuszem towarzyskości. Ludziom, którzy go nie znali, trudno wyobrazić sobie tę sumę grzeczności, niekiedy może nawet nadmiernej, pewnej jakby zalotności; tę umiejętność toczenia rozmowy i umiejętność słuchania rozmówcy, bystrość w odgadywaniu tematu, który rozmówcę zaciekawi, wreszcie talent trafego wystawiania się. Dodajcie do tego wdzięk, którym ludzi usidlał. Zawsze gotowy uśmiech, zawsze gotowe zaczarowywanie wykwintnym komplementem.*

W towarzystwie laików unikał rozmów o muzyce, chyba że chodziło o anegdoty o sławach muzycznych. Warto więc przytoczyć zabawną fraszkę o Gioacchino Rossinim, którą Paderewski opowiedział razu pewnego. Otóż ów kompozytor, twórca znanych oper był wielkim smakoszem,

a przyszło mu kiedyś zjeść dość podły obiad w jakiejś jadłodajni. Na zakończenie kazał sobie przywołać właściciela zakładu, a gdy ten się zjawił, Rossini rzucił mu się na szyję niemal ze łzami.

- *Czyżby panu aż tak smakował obiad z mojej kuchni? - pyta zdumiony oberżysta.*

- *Nie, żegnam się splotakany, bo po obiedzie, jaki mi dałeś, wiem, że się już nigdy więcej nie zobaczymy.*

Trzeba było widzieć rozradowanie Paderewskiego, gdy to opowiadał - wspomina Grzymała. Na humor był niewypowiedzianie łakomy i każda faccja rozśmieszała go dosłownie do łez. Tak się śmieją ludzie czystego serca.

Nietrudno Go było wprowadzić w złoty humor, a gdy to już się dokonało, przeistaczał się w człowieka rozbawionego na sposób wręcz chłopięcy. Pewnego wieczoru oglądał w teatrze sztukę Grzymały pt. „Spadkobierca”. Był w świetnym nastroju, czego zaznali wykonawcy sztuki, których w antraktach zasypywał za kulisami najszczerzszymi pochwałami. Treścią komedii bawił się jak dziecko. Autor siedział obok i obserwował Paderewskiego z uwagą... Po spektaklu zanotował:

W ostatnim akcie dzieje się tak, że bogaty obszarnik, Obierzyński żeni się ze swoją gospodynią, a córka jej i młody praktykant rolny, Józio, dają widzom przeświadczenie, że chętnie by poszli w ślady tamtych. Gdy po finale kurtyna zapadła i zakończyły się brawa, „książę pianistów” zwrócił się do mnie niemal z prośbą:

- *Ale prawda, proszę pana, za dwa, za trzy lara ci smarkacze też się ze sobą pobiorą? Bo przecież Obierzyński nie poskąpi im grosza - nieprawdaż?*

Postacie sceniczne - produkty wyobraźni - stały się natychmiast jego jakby osobistymi znajomymi. Spotęgowana wrażliwość, ale obok wrażliwości - jakże dlań charakterystyczny rys: dobroć. Dobroć żywiołowa, zaznaczona w jego nadziei: „przecież Obierzyński nie poskąpi im grosza”. Jakby siebie samego miał na myśli. Jego hojność, jego filantropijność, jego potrzeba rozdawania miały charakter fenomenu. Grubo go nieraz naciągano, co go do naciągających ani trochę nie zniechęciło. Przeciwnie! Mówiono, że źle w pamięci Paderewskiego bywa notowany ten, kto go na jakiś datek nie nabierze.

Czy to w latach Jego początkowej sławy, kiedy jeszcze nie rozporządzał krociami, czy to później, gdy miał do dyspozycji miliony - znany był z miłosierdzia. Przemozna chęć niesienia pomocy, ta Jego

potrzeba rozdawania

graniczyła nierzadko z rozrzutnością. Po śmierci żony, gdy przez czas dłuższy nie koncertował, więc nie zarabiał, a rozdawnictwa nie zaniechał, Jego zasoby skurczyły się zatrwającąco. Na szczęście miał przy sobie oddanego i przez wiele lat wiernie Mu służącego Sylwina Strakacza,⁴ osobistego sekretarza, który sobie tylko wiadomymi sposobami uchronił wówczas wielkiego filantropa przed kompletną ruiną. Koncerty zostały w końcu wznowione i pustawy mieszek znów zaczął się napełniać.

Paderewski każde otrzymane dobrodziejstwo zachowywał we wdzięcznej pamięci, a że prawdziwie wdzięczni bywają podobno tylko ludzie hojni, warto tu przytoczyć relację Grzymały z dwóch zdarzeń oddalonych w czasie o lat trzydzieści, lecz ściśle ze sobą powiązanych osobami bohaterów. Otóż w teatrze polskim w Poznaniu, za panowania cesarza Wilhelma II rządził przez długie lata dyrektor Rygier,⁵ płomienny patriota i wielce utalentowany impresario. Niełatwo mu było w tych czasach utrzymać polską placówkę na odpowiednio wysokim poziomie i choć rozsądny i oszczędny – borykał się stale z poważnymi trudnościami finansowymi. Ale od czego głowa na karku oraz niekonwencjonalne pomysły. W 1908 r. zamarzył sobie, jak by to było ślicznie, gdyby tak Paderewski zechciał zjechać do Poznania i dać koncert. Mimo że graniczyło to niemal z cudem, Mistrz będący wówczas u szczytu sławy zaproszenie przyjął, postawiwszy wszakże jeden warunek: „co do ceny, porozumienie po występie”.

W dwadzieścia cztery godziny od chwili zapowiedzi koncertu wszystkie miejsca były rozchwytywane. Nikt nie kwestionował ceny biletów, bogacze sypali naddatkami w złotych dwudziestomarkówkach, czy nawet w numizmatycznych dukatach. W dniu koncertu entuzjazm uciemienionych Wielkopolan przybrał niemal znamiona szału, scena zaś zakwitła wieńcami i koszami róż. Organizator koncertu promieniał oszołomiony szczęściem, lecz zarazem do jego serca wkradło się dręczące pytanie, ile też Mistrz zechce sobie policzyć za występ? Wiadomo było, że w Ameryce płacą Mu pięć tysięcy dolarów za wieczór. Nadszedł moment rozrachunków. Rygier postarał się o piękną srebrną tacę, umieścił na niej zawartość kasy, wszystkie banknoty, całe srebro talarów i setki złotych monet i w odpowiedniej asyście podążył do udekorowanej odświętnie garderoby Mistrza. Tam, po wygłoszeniu uroczystej mowy wielbiącej „Wielkiego

Rodaka”, wręczył Mu na tacy ową imponującą „kasę” zaznaczając, iż jedynie od dostojnego gościa zależy, ile z tego przeznaczyć raczy na pokrycie kosztów tego szczęścia, które przeżył wraz z całym społeczeństwem Wielkopolski. Paderewski wysłuchiwał cierpliwie, po czym rzekł: „Co do honorarium, kochany panie Edmundzie, niech już zostanie w mocy dawna nasza norma: pięćdziesiąt procent. Pół na pół, to znaczy taca dla mnie, a pieniądze dla pana”.

Pamiętać należy, że przed wieloma laty ten sam Rygier zaangażował Go, nieznanego wówczas nikomu biednego studenta konserwatorium, do wakacyjnego objazdu po kraju z jakimś spektaklem słowno-muzycznym. Pianista miał otrzymać dwadzieścia procent zysków, lecz impreza okazała się tak mało dochodowa, że organizator przy rozliczeniu postanowił podzielić się z „chudeuszem” wielkodusznie pół na pół. Po latach Paderewski zwierzył się Grzymale, że ten gest Rygiera umożliwił „szaraczkowi” rozpoczęcie ostatniego roku studiów w konserwatorium warszawskim. Minęło lat trzydzieści i oto pamięć i wdzięczność „króla tonów”, poparta niezwykłą szczodrością, pozwoliła polskiemu teatrowi w Poznaniu przetrwać kolejny rok w czasach, w których urzędy w tym mieście, a nawet niektóre sklepy wywieszały napisy: „zabrania się mówić po polsku”.

Zdarzyło się raz, iż ze szczodroblewości Paderewskiego skorzystał nie tylko bezpośrednio obdarowany, lecz także, (po latach), rzesza głodujących w Polsce dzieci. Historia – zupełnie jak z baśni o dobrej wróżce – zasługuje na odnotowanie.

Czasu swej zenitowej sławy – wspomina Grzymała-Siedlecki – pod koniec XIX w. „książę pianistów” wybiera się w tournée koncertowe po Stanach Zjednoczonych i niemal na wyjezdny odbiera osobliwy list. Píše doń nieznany mu młody inżynier, zamieszkujący jakąś deskami od reszty świata zabita miejscinę, w którymś z biedniejszych Stanów. Jest mu tam niewypowiedzianie źle. Nie może sobie znaleźć żadnego jako tako kulturalnego otoczenia, pragnie się wyrwać w szerszy świat, ale jak tego dokonać bez kilku tysięcy dolarów? (...) Jeśli Mistrz zgodzi się przyjechać z koncertem do jego miasta, to on będzie mógł nie tylko Mr Paderewskiemu wypłacić należne honorarium, ale i dla siebie uzbiera dolary potrzebne na wyjazd. Paderewski nie byłby sobą, gdyby się od razu nie przejął losem nieszczęsnego inżynierka. (...) Impresario pieni się ze złości, mówi, że na rzecz tak absurdalnej eskapady trzeba by

było zerwać po drodze jeden, a może i dwa z zakontraktowanych wcześniej koncertów, ale wola Mistrza decyduje. Na miejscu gorzki zawód dla optymisty inżyniera: w kasie zebrano się gotówki wystarczającej jedynie na honorarium koncertanta. Rozwiały się nadzieje młodego człowieka na rozpoczęcie jakiejś kariery. Ale trafił na „maniaka filantropii” – ten, widząc smutek biedaka nie wziął odeń ani grosza, a tym samym umożliwił mu spełnienie marzeń.

W 1919 r. zjeżdża do Warszawy z misją humanitarną Herbert Hoover,⁶ znany polityk amerykański, a w niedalekiej przyszłości prezydent. Paderewski jest premierem, zaś gość zza oceanu nie zaniedbuje żadnej okazji do okazania Mu swej dozgonnej wdzięczności. Albowiem właśnie on, Hoover... jest tym dawnym ubogim inżynierem, któremu Mistrz swoją szczodrością ułatwił start w Wielki Świat!

Drugą obok muzyki życiową pasją Paderewskiego była polityka. Grzymała twierdzi nawet, że to była w istocie pasja największa. Kiedy mógł wdać się w poważną dyskusję o nieszczęściach nękających współczesny Mu świat – był w swoim żywiole. Wszystko, co zaprzętało Jego umysł, musiało mieć wymiar na skalę gigantów, przeto i tu interesowała go wyłącznie

wielka polityka.

To Jego „ukochane dziecko” przysporzyło Mu, niestety, najwięcej zgryzot i rozczarowań. Dotychczas udziałem Jego przez dziesiątki lat było nieustające pasmo sukcesów, otaczany był wszędzie, gdzie się pojawił tłumami rozentuzjasmowanych wielbicieli, podziwiany i obsypywany kwiatami. Teraz, w czynnej polityce zderzył się z nieznanym Mu światem, którym rządziły reguły twarde i nierzadko wręcz brutalne. Takie atuty jak dobroć, wielkoduszność, miłosierdzie czy sprawiedliwość okazywały się bezużyteczne, gdy przy stole rokowań należało – nie przebierając w środkach – przebić kartę wytrawnego przeciwnika.

Dziwiono się niekiedy, że On, podziwiany powszechnie pianista i kompozytor chwytą się polityki.

W jakiś czas po objęciu rządów Paderewski udał się z oficjalną wizytą do Paryża. Na dworcu przywitał Go Clemenceau, wówczas prezes francuskiego gabinetu. Przedtem nigdy się nie spotkali, tu widzą się po raz pierwszy. Francuz odwozi polskiego gościa do hotelu i w pewnym momencie pyta:

- Proszę pana, świat zna pewnego genialnego muzyka, który nosi to samo, co i pan, nazwisko, czy to krewny pański?

- Nie spierajmy się o to, czy jest on genialny, czy nie - odpowiada mu rozbawiony Paderewski - ale tym muzykiem jestem właśnie ja.

Clemenceau z talentem wcale niezłego aktora odgrywa zdumienie, wreszcie mówi:

- A więc to pan? - i po chwili: - Niezrozumiałe to dla mnie.

- Co?

- To, że pan, rozporządzając takim nieporównanym darem, pan mający możliwość uszlachetniać masy ludzkie pięknem swojej gry, porzucasz ją, by się oddać temu paskudnemu zawodowi: polityce!

Stary chrzytrzeć doskonale, rzecz jasna, wiedział, że Paderewski polityk i Paderewski muzyk to jedna i ta sama osoba - pisze Grzymała - ale udał nieświadomego, by móc się wypowiedzieć na temat omyłki życiowej, jaką według niego popełnił książę pianistów.

W czas zawierania pokoju w 1919 r., na jednym z posiedzeń tzw. Wielkiej Czwórki⁷ rozpatrywano sprawę Górnego Śląska. Na obrady zaproszono Paderewskiego, jako szefa delegacji polskiej. Nie miał łatwego zadania. Lloyd George⁸ stał całkiem jawnie po stronie Niemiec, co gorsza zaś, Wilson⁹ nie był tym razem zdecydowany, kogo popierać: Niemcy czy Polskę. Debaty trwały już dwie i pół godziny, z czego przynajmniej godzinę zajęła mowa Paderewskiego. Ale Jego argumenty nie trafiły do przekonania Anglosasów. Zapada wreszcie niekorzystna dla nas decyzja. Polski premier, bardzo zawiedziony, stanął na uboczu nie tając smutku. Wilson, zawsze Paderewskiemu przyjazny pociesza:

- Mr Paderewski, przecież w zamian za wasze ustępstwa zobowiązemy Niemców do określonych świadczeń na rzecz Polski.

- Ale czy Niemcy dotrzymają tych zobowiązań?

- Naturalnie! Niemcom z 1919 r. można wierzyć, wszak to już nie imperialiści, lecz marksiści.

- O, tak! - replikuje Paderewski. - Nawet podwójnie.

- Co to znaczy: podwójnie marksiści? - dziwi się prezydent.

- Bo oni są bismarksiksi.⁹

Ale oto nadchodzi wreszcie dzień wielkiego triumfu. W Wersalu wokół wspaniałego pałacu gromadzą się nieprzebrane tłumy. Na obszer- nym dziedzińcu żołnierze gwardii przygotowują działa do uroczyste-

go salutu. Całe pierwsze piętro głównego korpusu gmachu zajmuje przepiękna

Sala Zwierciadlana,

a w niej prezydenci, szefowie rządów, wybitni politycy. Takiego zgromadzenia świat nigdy przedtem nie oglądał. Przedstawiciele zwyciężkich państw złożą podpisy w specjalnie przygotowanej księdze, którą rozłożono na paradnym stole. Najpierw podejda doń delegacje Wielkiej Czwórki. Wszystko zostało obmyślane w najdrobniejszych szczegółach. W momencie składania autografów przez delegację francuską zagrzmia armaty, o co zadba urzędnik powołany specjalnie do uchwycenia tej jednej, jedynej i niepowtarzalnej chwili. Czy mógł ktoś przewidzieć, że Francuz się... zagapi i naciśnie odpowiedni guzik dopiero wtedy, gdy przy stole pojawią się Polacy?!

W specjalnie wydzielonym sektorze sali mrowie dziennikarzy, a wśród nich Adam Grzymała-Siedlecki, korespondent „Tygodnika Ilustrowanego” i jednocześnie oficjalny rzecznik prasowy Premiera. Oczy ma szeroko otwarte, z wrażenia prawie nie oddycha, ale notuje:

...Delegaci polscy idą do stołu traktatowego. Pierwszy kroczy Paderewski. Po nerwowym, pospiesznym szepcie sali znać, jak popularną jest on postacią. Można powiedzieć bez przesady, że zna go cały świat. (...) Idzie krokiem pewnym, energicznym; w oczach natchnienie, głowę okoloną płową, jakby lwią grzywą niesie wysoko wiedząc, że on i idący za nim Dmowski streszczają w sobie cały naród, za który można być dumnym. Idzie złożyć podpis, który uprzytomni światu i stuletnim tęsknotom polskim prawo narodu Piastów i Jagiellonów, prawo do samodzielnego bytu. (...) Paderewski kończy podpisywać - i naraz, jakimś dziwnym zbiegiem zdarzeń rozlega się pierwszy z wystrzałów armatnich: pożegnanie wojny w pierwszej godzinie pokoju.¹⁰

I jakże tu nam, Polakom, nie lubić Francuzów...?!

Na koniec warto przypomnieć, że prezydent USA Wilson przyjechał w 1919 r. do Paryża z gotową wizją ładu w powojennej Europie. Był twórcą słynnych w owym czasie „czternastu punktów”, z których punkt trzynasty przewidywał „utworzenie niepodległej Polski z dostępem do morza”.

Polska z dostępem do morza!

Czy podobne sformułowanie mogłoby w ogóle wyjść spod pióra zamorskiego polityka bez inspiracji wielkiego Paderewskiego?! Bez Jego płomiennych mów, które przez lata całe wygłaszał w Ameryce? Bez szacunku i niewyobrażalnego wręcz autorytetu, jaki sobie wyrobił w kręgach możliwych ówczesnego świata? Dochodził zaś do tego jeszcze ów fenomen, że „książę fortepianu” pozostawał w szczerej przyjaźni z kilkoma królami i prezydentami, a niektórzy z nich – jak Wilson właśnie – podkreślali, że przyjaźnią tą czują się zaszczytzeni.

W tamtych realiach geopolitycznych nie sposób było oprzeć północnej granicy naszego państwa o Bałtyk, bez jednoczesnego przyznania Polsce Pomorza i Kujaw. Kto, jak nie Paderewski, mógł być o tym przekonać Wilsona?¹¹ I On tego dokonał!

Dziś w naszym mieście imię Paderewskiego noszą takie instytucje, jak Filharmonia Pomorska i Towarzystwo Muzyczne. To u nas, co trzy lata, w Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Ignacego Jana Paderewskiego grają Jego repertuar młodzi pianiści z całego świata; to tu, w Bydgoszczy, zorganizowano w 1999 r. – staraniem działaczy Towarzystwa Muzycznego i Akademii Muzycznej – I Konkurs Wokalny Jego imienia, którego druga edycja odbyła się w czerwcu 2003 r. To właśnie w naszym mieście zrodziła się idea „Roku Paderewskiego”, ukoronowana stosowną uchwałą Sejmu, dzięki czemu Bydgoszcz stała się na cały 2001 r. muzyczną stolicą Polski.

Można śmiało powiedzieć, że podziw dla sztuki Paderewskiego jako pianisty i kompozytora jest w naszym regionie nadal żywy, a wdzięczność mieszkańców Bydgoszczy za Jego epokowe zasługi w dziele odzyskania przez Polskę niepodległości nie przemijają.

¹ Adam Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, s. 299–339.

² *Bydgoski Leksykon Teatralny*. Praca zbiorowa. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne 2000 r.

³ Józef Adamowski, późniejszy profesor klasy wiolonczeli w konserwatorium w Bostonie, USA.

⁴ Sylwin Strakacz odegrał (jak wiadomo) po śmierci Mistrza wielce niechlubną rolę w sprawach spadkowych Paderewskiego. Jednak Grzymała, mając w pamięci jego wierną i długoletnią (przy tym wcale niełatwą!) służbę u Paderewskich, nie przyłączył się nigdy do chóru tych, którzy byłego osobistego sekretarza i *de facto* „prawą rękę” wielkiego pianisty odsadzili od czci i wiary.

- 5 Edmund Rygier, przybył z Krakowa; swoje stanowisko dyrektorskie nazywał „posterunkiem”, siebie „sternikiem”, swój teatr „placówką”, a swoich aktorów „drużyną”. Wykonał dla polskiej kultury w Poznaniu kawał dobrej roboty. Adam Grzymała-Siedlecki, *Świat aktorski moich czasów*, Warszawa 1957, s. 208–212.
- 6 Herbert Clark Hoover, w latach 1928–1932 prezydent Stanów Zjednoczonych.
- 7 Tzw. „Wielka Czwórka” to: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Włochy.
- 8 Lloyd George, ówczesny premier Wielkiej Brytanii, nie krył swoich sympatii do Niemców, stąd jego nastawienie do postulatów delegacji polskiej było przez cały czas trwania rokowań – delikatnie mówiąc – nieprzychylnie. Ów mąż stanu nie cieszył się w kuluarach Konferencji przesadnie dobrą opinią, a Paderewski, rzecz jasna, szczerze go nie lubił.
- 9 Thomas Woodrow Wilson, w latach 1912–1920 prezydent USA. Opowiadał się za utworzeniem niepodległej Polski. Podkreślał, że czuje się zaszczycony przyjaźnią Paderewskiego.
- 10 Paderewski nawiązał do osoby Otto von Bismarcka (1815–1898), pierwszego kanclerza zjednoczonego cesarstwa niemieckiego. Człowieka tego cechował szczególnie bezwzględny stosunek do Polaków. To on rozpoczął i prowadził konsekwentnie politykę wynaradawiania i masowego wysiedlania ludności polskiej (zwłaszcza z Poznańskiego).
- 11 A. Grzymała-Siedlecki, *W Sali Zwierciadlanej*, Tygodnik Ilustrowany nr 28, 12.07.1919 r.